№ 1.

Warszawa dnia 24 Grudnia / 5 Stycznia R. 1867.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

TARGI I ZGODA.

Pan Marcin wielkiego zapisu nie zrobił krewniakowi swemu Kubusiowi, ale równie uposażył go nieostatnio, bo mu testamentem ofiarował część na Strokcicach, łąki na Koćmirzowie i spichlerz nad Wisłą przy samym Sandomierzu i cosić w gotowiznie na zagospodarowanie się. W zapisie swoim powiedział, że choć godzien całego majątku za swą przychylność i poczciwość, równie jednak tego nie robi, bo Kubusia nie chce zostawić po sobie panem coby dumnością zatracił duszę, ale chudym pachołkiem z otwartą drogą do nieba.

Podarunek jednak taki nie był chudopacholstwem, ale fortuną, bo Kubuś poczciwina, był wielki chudzina i oprócz duszy w ciele i herbu szlacheckiego nic więcéj nie dziedziczył. Dodał przytem jeszcze pan Marcin, że ofiarę tę daje mu nie w nagrodę, ale na pamiątkę, bo takiego jak on człeka ziemskiemi dobrami, nie nagrodzi. Bodaj to dobrodzieje co takiemi szafują pamiątkami! Każda pamiątka przyjemna sercu, ale najprzyjemniejsza co wygodą i dostatkiem przypomina od kogo idzie.

Mimo jednak téj pamięci ofiary bogatego krewniaka, śmierć pana Marcina bardzo Kubusia zmartwiła. Przy nim prawie wychował się, z wyrostka stał się dryblasem i porósł wąsem jak zagajnik leśny! Potem ożenił, dochował się dzieci, nawet dwie córki wydał i wywianował, a syna wśrubował pod oko kapitana do Ossolina. Więc przeszło trzydzieści lat byli z sobą, znali się z każdéj strony i jakby dwie połowy przystawali do siebie, choć czasem ze skwirem i piskiem. To też Kubuś z żalu po p. Marcinie, wyglądał jak z krzyża zdjęty, pobladł, przymizerniał, oczy mu się w dół zaklęsły, a pani Kubusiowa wzdychała i ocierając łzy mówiła:

— Nieboszczyczek turbacji i frasunku nieladajakiego narobił, ale temu nie zaradzi. Mój robalek to odchoruje, bo to się z nieboszczykiem przyjaźnili na dziwo. Bywało że czasami dnie całe z sobą przegadali, a jak zima przyszła, to robalka mego trudno było utrzymać w domu, co zawdy ciągnął do dworu. Oj! poczciwa to była dusza, w naszych Rożkach zrobią się teraz wielkie pustki i samotność, chociaż z nich ubył jeden tylko robalek.

Pani Kunegunda wszystko co było bliżéj jéj serca z żyjącego tworu, nazywała *robalkiem*, a że poczciwa kobiecina kochała zarówno kurę jak kaczkę albo konia lub owcę, jak nie przymierzając i człeka czy z prostego czy szlacheckiego narodu, więc robalek ust jéj nie opuszczał i zawsze go miała na języku.

— Héj! Małgoś — mówiła rano wyszedłszy na podwórzę — a wypuść z chlewa robalki bo kwiczą jakby je kto rżnął po gardzielu. A nie zabacz mój robalku o kaczkach, niech idą na staw, wczoraj robalki cały dzień były w zamknięciu. A jakże się u brata ma mały robalek, co dla niego leki wczoraj dawałam? Pójdziesz mój robalku i dowiesz się.

Zwykle przy takich różnych rano dyspozycjach, do pani Kunegundy zbiegły się roje kur, gołębi, indyków, kaczek, gęsi, które z razu tylko jéj asystowały, z wielką pomiędzy sobą przyjaźnią. Gdy jednak kilka pacierzy minęło, a żaden profit nie wpadł do dzio-

ba, więc indyk myślał co temu przyczyną kaczka, i stuknął ją w plecy: kaczka zemściła się na gołębiu ten furknął i spłoszył koguta z wielkim gorgolem, a gęś myśląc że to ją tak osławia i posponuje, hajże po kogucie i z tego robiła się jakby jaka batalja wszystko się dziobało, żarło i wniebogłosy wołało ratunku. Posłyszawszy wrzawę, pani Kunegunda sięgała do kieszeń co je miała w fartuszku i pod fartuszkiem przyczepione sznurkiem w pasie i rzucając tu ziarno, tam kawałki chleba, mówiła:

— Moje robalki kochane, jak się to upominają o śniadanie. A zgodą, a w ciszy. Kasiu przynieś no mi miarkę pośladu, a ino spiesz się robalku.

O gniewie kapitana Krasuskiego za zapomnienie go w testamencie, pani Kunegunda dowiedziala się w kościele jeszcze, przy wyjściu więc na cmentarzu pociągnęla Kubusia za wyloty i z wielkiem przerażeniem opowiedziawszy mu całą sprawę, rzekła w końcu.

— Mój robalku trzeba duchem kapitana udobruchać, żeby się z tego nieboszczyczka duszy jaka krzywda nie stała. Zawziętość każda ciężka żyjącemu, ale cięższa zmarłemu, bo duszę jego trzyma przy ziemi. Jak nie wyplączesz ją z tego pomotania, to gotów pan Marcin przyśnić się nam, albo pokazać się w swojéj postaci.

Temu nikt nie zaradzi tylko ty robalku Kubusiu, a radzić trzeba, bo przy pogrzebie każda dusza najwięcéj potrzebuje ratunku.

Kubuś jak oparzony poskoczył za kapitanem, ale tego wieczora nie mógł go nigdzie przydybać i dopiero na drugi dzień spotkał się z nim, jakeśmy na nowo do Klimontowa zjechali. Oboje strasznie byli zafrasowani, a Kubuś prawie ze łzami w oczach przysunął się do kapitana i rzekł z przerażeniem;

— Panie kapitanie dobr. wybacz memu nagabywaniu, ale mnie doszły posłuchy tego co przynależy zmarłym od żyjących. Czy to prawda?

Kapitan zmięszał się, ale wnet ochłonął i odrzekł troszkę nieśmiało:

— No jużcić żalu w zanadrze nie schowa, kiedy serce rozrywa na poły. Ale żal mój nikomu nie wadzi, ani wam panie Jakóbie...

— Co też mówicie bójcie się Boga? — Alboż to człek tylko to czuje co jemu samemu dolega? Przyjacielstwo za grobem dwoi się a nawet potraja, a pan Marcin i wam był krewnym i przyjacielem.

— Na krewieństwo nic nie odrzeknę — oburknął się kapitan już z gniewem — bo krwi jednéj trudno się zaprzeć. Przyjacielstwo idzie z serca a dowodzi się pamięcią. Nieboszczyk nie miał pamięci więc i przyjacielstwa nie było, to i ja nie mam obowiązków nijakich. Wy panie Jakóbie co innego, możecie nawet płakać — bo wam nieboszczyk zostawił chust dosyć na łez obtarcie.

— Jeżeli ten przytyk panie kapitanie — odrzekł na to Kubuś z powagą — robicie do zapisu nieboszczyka, dla nas to was zapewniam szlacheckiem słowem, że nie wyciągałem po niego ręki ani nie chyliłem się do kolan. Ale tu nie o zapis idzie ale o wieczność, a zawziętość ani rzeczą chrześcijańską ani krewieńską.

— Co mi tam prawicie szałki, opałki — przerwał kapitan już na piękne rozgorgolony — wy wiecie swoje a ja swoje. Nieboszczyk pan Marcin zrobił co chciał, niechże i ja mam wolność robić co mi się podoba. Żal jest moim nie waszym, a wspomnienie nabożne szczere nie w człeka mocy. Pana Marcina nie odrzucam z modlitwy, ale go kładę na równi ze wszystkiemi duszami, i odmawiam pacierze nie za jednego Marcina, ale za wszystkich Marcinów jacy żyli i pomarli od Adama w raju.

— Bójcie się Boga — z przerażeniem załamując ręce odezwał się Kubuś, gdy pani Kunegunda z podpartą głową na ręku chwiała nią i wzdychając szeptała cosić o robalkach i duszach i wieczności.

— Bójcie się Boga — mówił Kubuś— a toć srom największy dla pamięci nieboszczyka i szkoda dla duszy. Może dla niebieskiego szczęścia, brakuje mu jednego paciorka, jednego pobożnego westchnienia, jednego przebaczenia jakiéj przeciwności i wy odmawiacie tego? Bójcie się Boga kapitanie i miejcie Boga w sercu, dajcie pomoc i ratunek jak wypada krewnemu i chrześcjanowi.

— Boję się Boga — odrzekł kapitan — mam go w sercu, ale każde sposponowanie gorzéj kuczy jak odcisk, a mnie nieboszczyk sposponował, — przed całym światem. Teraz to mi trudno oczy podnieść na człowieka.

— Tu kapitanie idzie o wieczność o zbawienie, a to nie fracha — mówił znowu Kubuś, ale kapitan został nieporuszony, kiwnął głową, machnął ręką i pośpiewując światowo pod wąsem, zaczął się krzątać po izbie za słonia do przepchania cybucha. Wtedy podsunęła się pani Kunegunda do Kubusia i szepnęła mu.

— Mój robalku, nieboszczyczka nie możemy opuścić, bo kto mu będzie dusznym opiekunem jak nie my? Jużcić co prawda należało się o kapitanie pamiętać, a że tak się nie stało, my nie krzywi ale my powinni naprawić. Nie w bogactwie jesteśmy co prawda, ale i kapitan tylko dworzaństwem żyje. Przyrzuć mu więc spichlirek pod Sandomierzem z naszego zapisu i kawałek łąki na Kocmirzowie, a stanie się sprawiedliwość, co wyjedna miłosierdzie dla duszy nieboszczyka.

— Jużcić moja jejmość nie wypada inaczéj— odrzekł Kubuś i zwracając się do kapitana mówił daléj: Panie kapitanie, nieboszczyk choć na boskim sądzie to względem was wypuszczeniem z zapisu trochę się potknął. Gdyby się go dało jak Piotrowina przywołać z grobu, to by stanął za wami, a przeciw sobie. Ale na to trzeba św. Stanisława a my grzeszni ludzie, więc zróbmy tak: nas nieboszczyk obdarzył pamięcią swą i zapisem, podzielmy się więc tem na połowiznę. Wy weźcie spichlerz pod Sandomierzem i łąki na Kocmirzowie, a my zostaniemy przy gruntach i budynkach na Strokcicach. Chudobę tę przyjmiecie jako pamiątkę nie jako przekupstwo, a pocieszycie duszę nieboszczyka i nam z serca wielki zdejmiecie ciężar, zrobicie łaskę...

— O! tak mój robalku kapitanie — szepnęła ze wzdychaniem pani Kunegunda, łaskę i wielką łaskę.

Kapitan nic na to nie odrzekł, udawał wyraźnie jakby tego nie słyszał, bo się ciągle krzątał wedle cybucha i cosić mruczał pod nosem. Po chwili cichości, widząc że nie mogą kapitana przeciągnąć na swoją stronę odezwała się pani Kunegunda:

— Mam ja panie kapitanie mój robalku kochany trzy krążki wosku własnego zebrania, com go prze-

znaczyła na światło do mego pochowku, to je ofiaruję panu kapitanowi na tę samą posługę. Będzie to prawdziwe krewieńskie światło i nikt nie rzeknie że kapitan przez familją naszą został z pamięci wypuszczony.

Kapitan ciągle milczał tylko targnął wąsem z jednéj i drugiéj strony, a Kubuś widząc że i to nie pomaga, odezwał się skrobiąc w głowę frasobliwie:

— Jeżeli wam się panie kapitanie zdaje z krzywdą taki podział zapisem nieboszczyka, to zważcie że mam dzieciska a i nam już ze świata a nie na świat. Przy gruntach są budowle, a dla naszych głów sturbowanych własny dach to wielka uciecha...

— Prawda mój robalku prawda — mruknęła pani Kunegunda.

— Jeżeli więc — mówił daléj Kubuś — podział taki uważacie za krzywdę, to niechże mnie przypadnie spichlerz z łąkami, a wam dział na Strokcicach...

— „Poczciwie robalku rozporządziłeś“— przerwała pani Kunegunda wzdychając— pierwszyzna przynależy duszy nieboszczyka jak naszym głowom.

— „Rzekuijcie więc przyzwolenie“— mówił znowu Kubuś— „zrućcie z serca żałośliwość proszę was, chylę się do waszych nóg...

I przy tych słowach poczciwy Kubuś ujął kapitana za kolana a pani Kunegunda postąpiła kilka kroków z wyciągniętemi rękoma jakby do uścisku. Kapitan zmartwiał, niedopuścił Kubusiowi takiéj pokory, objął za szyję i przyciskając z całowaniem zaszlochał jak malutkie dziecko.

— „Kubusiu! mówił kapitan z przerywaniem— mój ty jedyny i kochany Kubusiu.... ja nie bisurman ani poganin... nie idzie mi o bogate zapisy, ale o życzliwość i przyjaźń nieboszczyka. Zostań z Bogiem przy swojem, ja nie pragniący twojéj chudoby, przyjaźń twoja to najlepsze delicje, a poczciwość skruszyłaby nawet żelazne serce. Nie wstydź mnie mój Kubusiu jakiemiś podziałami, bo to krzywda wielka jakbym chciał kupczyć swoim żalem...“

— „Więc przebaczacie nieboszczykowi?

— „Przebaczam, przebaczam“.

— I żadnéj złéj woli nie macie dla jego pamięci?

— „Żadnéj, żadnéj mój Kubusiu, a na ten dowód mówię z nabożeństwem i pokorą: Panie! przyjmij duszę nieboszczyka do swojéj chwały i otocz światłem wiekuistem na wieki wieków amen.“

Pobożnych tych słów oboje Jakóbowie wysłuchali ze łzami w oczach, a gdy zakończyły się podziękowania i targi z kapitanem, bo mu gwałtem choć szpichlerz sam chcieli zostawić, pani Kunegunda ocierając oczy rzekła:

— „Kiedy mój robalku panie kapitanie, odrzucacie szpichlirzyk, który Bóg świadkiem że go chętnie dajemy, to duchem musicie choć do wosku należyć...“

Kapitan zaczął się sumitować, wymawiać, ale pani Kunegunda zasłoniła mu ręką usta mówiąc:

— Cicho mój robalku, cicho, ze wspólności do wosku co go ciułam przez całe gospodarstwo tylko na chwałę Bożą, nie będziecie panie Kapitanie mieć korzyści za żywota dla ciała, ale dla duszy przy bramie wieczności. Z wosku tego i z innego co go zbiorę uleję świece, a w dyspozycyi zapiszemy razem z moim robalkiem, że mają się palić przy naszych trumnach w czasie pochowku koleją, jak nas Bóg będzie zbierać z tego świata. Od tego nie możecie się wymawiać, bo kiedyśmy w jedności i przyjaźni tyle lat przeżyli, niechże ta jedność idzie z nami i po żywocie ziemskim, a naprzód w obrządku religijnym.“

Na przeciw tym słowom nie było co rzeknąć, bo i z rozumu i poczciwości wychodziły, więc pan Krasuski więcéj nie sprzeciwiał się, a odpłacając za taką życzliwość, oświadczył, że do światła wspólnego przyłoży ze swéj strony, obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj, przez samego Ojca S-go w Rzymie poświęcony, który przechowuje od ojców swych jako najdroższą relikwię, a potem do ich trojga razem przeznaczy go jako dar wspólny do kościoła.

W taki to sposób ciężka ta sprawa zakończyła się, a jaką mieli widać bardzo na sercu, bo przy nabożeństwie wystawnem Jakóbowie i kapitan klęczeli razem i modlili się z wielkiem przejęciem i żarliwością, jakby jednością modlitwy chcieli okazać Bogu swoją życzliwość dla pamięci nieboszczyka.

Po pogrzebie był potem suty objad na probostwie na którym znajdowało się całe obywatelstwo. Była i śliczna Marysieńka ze swoją matuńką, a mnie ledwo oczy do niéj nie wyskoczyły. Musiałem się jednak trzymać w powadze i na uboczu i dopiero po objedzie kiedy wszystkie białogłowy przeszły do drugiéj izby i my poskoczyli za niemi i już troszkę z większą wesołością, ale bez pustoty. Przypomnieliśmy sobie taneczną uciechę w Kurowie i rozgadywaliśmy się o zabawach w zapusty, których kilka szykowało się w naszéj okolicy. Marysieńka miała być na nich także, a chociaż stroiła buzię na smutek i oczkami wodziła po ziemi, widziałem że jéj to sprawiało wielką radość, bo po parę razy rzuciła na mnie tak przyjemne spojrzenie, że byłbym jéj stopki wycałował i przytulił do serca jak największe drogości. Ojcowie widząc moją asystę dla Marysieńki uśmiechali się szeptając coś do siebie, co mnie straszliwie ziębiło, bo przypomniałem sobie słowa p. Linowskiego, jakie wyrzekł w Kurowie że Marysieńka za stara dla mnie.

Po objedzie na plebanji, z pochodniami i z latarniami poodprowadzaliśmy gości na noclegi, bo się zerwała okrutna zamieć, tak że o powrocie nikt z dalszych nie mógł pomyślić. Co było przytem gwaru i wrzawy, co różnéj żartobliwości, to tego nie moja głowa opowiedzieć. Przez całą noc potem śniła mi się Marysieńka, tylko w śnie była straszna plątanina, bo co chciałem z dziewuszką wykręcić się ostro w taneczku, to nam przeszkodziło albo śpiewanie nabożne kapłanów, albo granie na organach, albo przypomnienie p. Linowskiego o leciwości Marysieńki dla mnie. W takiéj motaninie snu, którego po szczególe nie zapamiętałem, co było dobrą wróżbą dla mego kochania, dobiłem się do ranka, kiedy brzaskiem zajrzał do naszych okien. Zamieć wiała jeszcze ale już nie z taką gwałtownością. Uprzątnęliśmy się też żywo z ubraniem i z polewką zaprawną żółtkami i pospieszyliśmy do kościoła na nabożeństwo, w którym zastaliśmy wszystkich już zgromadzonych. Potem udaliśmy się wszyscy do domu. Wtedy dopiero naprawdę posmutniałem, a kiedym nadsługiwał przy sadzaniu państwa Linowskich do sań i Marysieńkę dla podparcia ująłem

za łokieć, to myślałem że go ze swéj ręki nie wypuszczę. Ale dziewuszka skoczyła jak ptaszek, przysiadła, otuliła się, potem mignęło się i zostałem sam jak figura przy drodze mocno zafrasowany. W powrocie do Osolina nie mogłem się dosyć naodżałować że pogrzeb tylko trzy dni się odbywał i nie przeciągnął przynajmniéj do tygodnia. Bodaj to stare kawalerstwo mówiłem sobie, za życia śmieszność daje z siebie ludziom, a po śmierci uciechę.

Zaprzątnąłem sobie myśli, przeglądem starych kawalerów, przydatnych do podobnego pochowku, ale w przepatrach tych nie nadybałem ani jednego, coby tak składał się we wszystkiem jak pan Marcin. Jeden bowiem mógł się jeszcze ożenić, drugi nie miał koligacji, tylko trzeci pocieszył mnie cokolwiek, bo choć chował się w zdrowiu ale był już letni i lada kiedy mogła mu się noga powinąć. Ten mnie trochę rozweselił, ale nie bardzo.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa

Kiedy byłem w największym kłopocie, jaką Wam złożyć gawędę w noworocznem życzeniu, jak prześliznąć się piórem po sterczących zatorach pismienniczéj niwy, żeby tu nie drasnąć, tam niezawadzić, tu nie dotknąć, a tam nie kolnąć jakaś poczciwa dusza, nadesłała mi do Pogadanki gotowiuteńki artykuł, który Wam w całości podaję. Oto jego słowa:

Kręcisz zapewne głową panie Redaktorze, z jakiego tonu czy z mol czy z dur przemówić do swoich Czytelniczek? Orzech to rzeczywiście twardy do zgryzienia, czuję jego skalistość i ubolewam. Na ratunek więc posełam gawędkę, która jeżeli się przyda na co, to ją chętnie ofiaruję na wiązankę noworoczną, a nie, to proszę wpakować do kosza a potem w piec gorejący rozpalonem łuczywem.

Chociaż ubiegłe święta, należą do przeszłości zamkniętéj kluczem 1866 roku, słówko jednak poświęcę ich pamięci.

Owoż podobnie jak prababki nasze i Wy Czytelniczki Tygodnika, zapragnęłyście godnie uczcić ten dzień, w którym Dzieciątko Jezus w Betleemskiéj stajence ten świat powitało. I Wy podobnież jak prababki nasze, podjęłyście rodzinę, czeladkę i zesłanego w progi wasze gościa: serdeczną uprzejmością.

I wy nakoniec wzorem prababek, przygotowałyście własną ręką ucztę w któréj jak mówią: ryby i grzyby, a przedewszystkiem gościnność Wasza, największą odegrała rolę. A jednak pomimo to wszystko, nie pragnęłyście ani pochwał ani uwielbienia i oto cecha waszéj skromności, którą pozwólcie, że jako najpiękniejszy dodatek do słów moich dorzucę. Minęły święta, a zaraz z kolei, ozwały się teatra, muzyki i t. p. rozrywki, milczące w pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Jedno cześnie wystąpili Mojżesz i Żydzi, pierwszy jako opera Włoska w Teatrze wielkim, drudzy jako komedja Korzeniowskiego w Rozmaitości, ściągając jak zwykle licznych bardzo widzów. Zabrzmiała również i orkiestra Bilsego, już to w koncercie już cudnéj symfonji, które coraz więcéj ucho Warszawian czarują. Ukazał się wreszcie jak meteor i syn Giboyer'a komedja francuzkiego pisarza Augier'a, którą przeflancowano i na naszą scenę. Nie tu naturalnie miejsce rozbierać krytycznie dzieło, w którem ów słynny dramaturg, przedstawia jak na dłoni. równie teraźniejszą jak i przeszłą Francję, ze wszystkiemi jéj w pojęciach odcieniami.

W każdym jednak razie powiemy tylko, że o ile komedja ta może mieć zajęcia dla Francuzów, o tyle mniéj szczęśliwie, na każdéj obcéj powiedzie się scenie, choćby ją wspierali takie nawet filary jak Królikowski, Żółkowski i inni.

Z kolei przypadł także i ów piękny koncert na który od tak dawna zbierano się z przeznaczeniem dochodu na sieroty po zmarłym i zasłużonym artyście dramatycznym Bodurkiewiczu. Dziwne to zaiste losy owych artystów, bo czy to poeta, czy pisarz, czy malarz lub rzeźbiarz, czy wreszcie snycerz albo rytownik, każdy z nich pozostawia po sobie dowody talentu, w formach widocznych, trwałych, opierających się często nawet wszystko niszczącemu czasowi. Jeden tylko artysta dramatyczny wyłączony jest z tego daru fortuny. Uwielbienie, oklask, zapał, to jak migi błyskawiczne:— z upływem danéj chwili wywołane wrażenie staje się wspomnieniem tylko, które co dzień, co godzina zacierając się i niknąc, przez następne pokolenie już cenione bywa jedynie, jako pamiątka trudna do odczytania i zrozumienia.

Tak przeszły najzawołańsi genjusze, jak Mars, Talma, Garrik, jak nasi Żółkowski, Kudlicz, Piasecki, Halpertowa i t. p.!

Sława unosząca się niegdyś po nad ich głowami dziś kołacze po pamięci ludzkiéj, zaledwie słabem echem. My, to jest ja i ty Redaktorze, zupełnie co innego, żyć będziemy wieki wieków, w tym niezbitym i nie zużytym dowodzie naszéj genjalności, nazywanéj Pogadanką tygodniową. Już to mówiąc między nami, nie ma milszego zatrudnienia jak literaekie szczególniéj dzisiaj. Ale wracam do przerwanego opowiadania. Otóż po świętach we czwartek, pierwszy Kurjer Codzienny wystąpił z przypomnieniem wspomnionego koncertu. Warszawa odezwę tę przyjęła chętnie i liczniejszem niż zwykle zebraniem, dała dowód pamięci dla zasług zmarłego Artysty, a współczucie dla osieroconéj po nim rodziny.

Nazajutrz po koncercie zjawił się na scenę światową Sylwester ów grabarz starego roku i zwiastun nowo powstającego. Trzymając się więc przyjętego zwyczaju, rzucam garść piasku na jego mogiłę, niech spoczywa w spokoju i niech mu lekkie będą te trzysta kilkadziesiąt dni, któreśmy pod jego dachem przeżyli.

KRONIKA LITERACKA.

Nakładem Księgarni H. Nowoleckiéj i Spółka, wyszła *książka do nabożeństwa dla uczącej się młodzieży katolickiéj ułożona przez księdza J. Szpaderskiego.* Przy podobnem dawniéj wydaniu, rozpisaliśmy się obszerniéj, jak pojmujemy modlitwę zgodnie z istotną potrzebą człowieka i nauką ewangieliczną. Teraz więc dodamy tylko, że obok światłéj, rozsądnéj osnowy, przedewszystkiem uwaga zwróconą być powinna na styl, żeby był prosty nie napuszony, a jasny jak słowo Boże i na czystość języka szczególniéj w książkach dla młodzieży przeznaczonych. Inne bowiem wydawnictwa służąc do czasowego lub chwilowego użytku, grzeszące pod tym względem, szkody zbyt wielkiéj wyrządzić nie może: modlitewnik jako tłumacz najdelikatniejszych uczuć duszy, będący w użyciu codziennem a przynajmniéj bardzo częstem, złym językiem i stylem napisany, wdrożywszy się w pamięć młodzieńczą, wpływ podobny może wywrzeć stanowczy, na myśli, mowę i pismo modlącego się. Książka ks. Szpaderskiego nie tylko wolną jest od podobnego błędu, ale zaleca się właśnie przymiotami, jakiemi są: prostota, jasność, czystość języka i ta serdeczność słowa co duszę unosi do wyżyn niebieskich, a nie obałamuca rażącem wielomówstwem i niepotrzebnemi dodatkami. Przygotowana przytem w dwóch edycjach, jedną służy dla panien, drugą dla mężczyzn. Cena zależy od oprawy i oznaczoną została od kop. 60 do kilku rubli.

Taż sama księgarnia, wydała *Zbiór umiejętności kucharskich dla użytku oszczędnych gospodyń miejskich i wiejskich, z dodaniem praktycznego poradnika we wszystkich domowyck potrzebach i przygodach przez S. M.* Podobne wydawnictwa, skutkiem zapewne niczem nieusprawiedliwionéj pychy ludzkiéj, przyjmowane są zwykle przez prasę perjodyczną z pewnem lekceważeniem a nawet drwinkami, jako praca błacha i małego niezmiernie znaczenia. A jednak ile rodzin w kraju, tyle gospodyń czyli osób chętnych do poniesienia wydatku na kupno podobnego podręcznika. Dla tego też gdy innych wydawnictw zaledwie setki rozchodzą się w handlu księgarskim, wszelkie dziełka dotyczące gospodarstwa domowego, przedają się w kilku a nawet w kilkunastu tysiącach egzemplarzy, często mając po trzy i cztery edycje. To samo powinno już spowodować większą na niebaczność, zwłaszcza że rozprzedaż tak znakomita nie jest dowodem poziomego pełzania myśli społecznéj, ale przeciwnie; chęci wyjścia z ciasnych szranek domowéj praktyki przekazywanéj z matki na córkę, a wejścia na obszerniejsze pole, jeżeli nie ścisłéj teorji, to doświadczenia ogółu Jeść musiemy, i wszsycy znajdujemy się w otoczeniu gospodarczem, myślicieli zaś w których można wmówić że zjedli objad, choć i łyżki z niego nie pokosztowali, że wstrętna jaka potrawa to przysmak najwyborniejszy, że nieczystość niezbędna konieczność, niezmiernie mała liczba błąka się po padole ziemskim, stanowiąc jakby białych kruków, przechodzących nawet w historją. Ogół zaś pod tym względem jest bardzo wymagającym, umie się krzywić, wybredzać, a nawet łajać, jeżeli nie jest coś tak jak powinno, głosząc sławę dobrych gospodyń i chwaląc rączki co na wszystko radę znaleść umieją.

Dawne podobne wydawnictwa, miały główną wadę, że przygotowywane były przez ludzi, może umiejących dobrze zrobić, ale nie umiejących wiadomości swoich ani dobrze opowiedzieć ani opisać. Niezrozumiała więc ich nauka, musiała być dopiero odgadywaną, poprawianą, tworząc prawdziwe łamigłówki nie zawsze podobne do rozwiązania. Przytem jaka była głowa taka praca, taki gust we wszystkiem, takie obmyślenie i wybór szczegółów. Dziś z tego labiryntu téj plątaniny rzeczy dobrych ze złemi wyłamaliśmy się znakomicie, a przynajmniéj opisy bywają prawie zawsze jasne i zrozumiałe, choć rzecz sama nie zawsze wolną jest od błędów. Do dziełek lepszych stanowiących Podręcznik dla Gospodyń, należy bez zaprzeczenia wydawnictwo p. Nowoleckiéj. Obok przepisów dotyczących potraw mięsnych i postnych, solenia i wędzenia mięsiw, ciast, konfitur i konserw i różnych drobiazgów stanowiących zapasy każdéj spiżarni, znajduje się także poradnik w różnych potrzebach domowych, jak czyszczenie wszelkich sprzętów, utrzymanie politury, prania, wywabiania plam, farbowania, niszczenia robactwa, zaradzenia w początkowych cierpieniach i t. p. Byłoby z wielką dla gospodarstwa domowego korzyścią, gdyby panie Gospodynie używające podobnych podręczników, raczyły do naszéj Redakcji przysyłać choć pobieżnie porobione uwagi, a mianowicie w czem przepisy po zastosowaniu ich, okazały się dobremi lub złemi. Kontrola taka jest konieczną, bo tylko pod jéj pilnem działaniem, nauka domowego gospodarstwa na coraz lepsze wchodzić będzie stanowisko.

MYŚL.

Spijcie jasnych marzeń roje,
Zdaleka od ludzi,
Spijcie, śpijcie myśli moje,
Zanim łza was zbudzi.

Nie rozkwtaj białą różą,
Bo się zwiedzą o tem,
Przyjdą chmury a przed burzą,
Któż cię schroni potem.

Lecz któż ujmie różom woni,
Gdy rozkwitną w lecie,
I któż myślom mym zabroni
Tułać się po świecie.

Zakwitło raz dziecię wiosny,
Całym swym urokiem,
Wnet je obłok chmur zazdrosny,
Zbrudził wód potokiem.

W słowach prysła myśl gorąca,
I na życie spieszy,
Zatęskniła kochająca
Do rodzinnéj rzeszy.

Ale smutne myśli w świecie,
Słowa toną łza je tłumi,
Wróć się zaśnij, biedne dziecię
Bo świat ciebie nie rozumie.

Przecieć myśli żyć potrzeba,
Róża w pączkach schnie teskniąca,
A więc myśli idź do nieba
Różo rozśmiéj się do słońca.

Regina.

O UBIORACH

Nigdy jeszcze w formie sukien nie uderzała nas tak wielka rozmaitość jak w tym roku. Widzimy suknie krajane w kliny z dwoma fałdami z tyłu, z spódnicą na łokieć przedłużoną—widzimy inne zupełnie w kliny bez żadnego fałdu,—obcisłe jak powijak i tylko rozszerzone u dołu, widzimy gabrjele nie odcinane wstanie zwane w tym roku *polkami*, widziemy znów suknie z krótkim, odciętym stanikiem przepasane paskiem z baskiną w formie *peplum*, przedłużoną po bokach, lub też z prostym karoczkiem spadającym od pleców. Jedne z nich wyszywają paciorkami z lawy, inne wycinają brzegiem w zęby różnego kształtu, inne robią bez żadnego garnirowania, inne nareszcie zdobią rulonami atłasowemi lub plisą z aksamitu niestrzyżonego.

W rodzaju wyrobów taż sama panuje rozmaitość. Noszą zarówno materje pasy, w kraty, w bukieciki, zupełnie gładkie, nakrapiane, w mienionych kolorach, w centki w kwadraciki i t. p. Rękawy utrzymują się ciągle obcisłe, lecz dają się też widzieć bardzo szerokie, spadające jak dawne pagody, lub niekiedy podwójne: pod spód obcisłe, na wierzch zaś otwarte szerokie. W takim chaosie trudno doprawdy poznać, do czego moda najwięcéj się skłania. Jest to niewątpliwie czas przejścia nim się gust powszechny ustali, radziemy czytelniczkom naszym gładkie suknie, gdyż te w żadnym razie nie wyjdą z mody.

Mieliśmy sposobność w tych dniach widzieć kilka sukien, wykonanych w magazynie pani Wojsiatyczowéj przy ulicy Królewskiéj N. 1065 pod firmą Elżbiety P. Wszystkie były z materji gładkich, odmienne tylko formą i przybraniem. Opiszemy je tu szczegółowo.

Suknia fijołkowa atłasowa, powłóczysta ze stanikiem pod szyję, przybrana była kilkoma rulonami z niestrzyżonego aksamitu w tymże samym kolorze. Rulony te odwracały się w górę po obu stronach, oznaczając jakby tunikę. Stanik spięty na aksamitne guziki przybrany był rulonami, które przechodziły od ramion do paska.

Druga suknia jedwabna gładka *marron*, miała wielką baskinę, podciętą po bokach, tworzącą długi ząb z przodu i z tyłu. Baskina objęta była pliską aksamitną tegoż koloru, zasianą pacioreczkami z lawy. Stanik gładki spięty na stosowne guziki, przepasany był aksamitnym paskiem. Naramienniki i mankiety aksamitne dopełniały ozdoby.

Trzecia suknia czarna jedwabna powłóczysta w kliny, miała na zszyciu brytów rulon aksamitny fijołkowy, obszyty z obu stron gipiurą czarną przerabianą w fijołkowy deseń, szeroką na dwa palce. Rulony nie zupełnie dochodziły do dołu, tak że gipiura zaokrąglona w koło każdego z nich, sama tylko sięgała do brzegu spódnicy. Przód cały tak stanika jak spódnicy, naszyty był w drabinkę rulonami, otoczonemi koronką.—Pasek mankiety i epolety przybrane były odpowiednio.

Czwarta suknia szafirowa, z sukienka nowego rodzaju w ukośne prążki, miała spódnicę długą, objętą bardzo wązko popielatym barankiem, paletocik do tego krótki, dęty, otwarty, z odwiniętemi klapkami, z pod przodów wychodziły drugie, przytwierdzone do nich krótsze przody tworzące kamizelkę. Tak jedne jak drugie przody, objęte były barankiem. Rękawy także były podwójne jedne obcisłe do ręki, drugie szerokie spadające w ząb do połowy — jak jedne tak drugie przybrane barankiem odpowiednio.

Oprócz wyżéj opisanych sukien, widzieliśmy jeszcze kilka gabrjeli bardzo starannie odrobionych. Brązowa z popeliny irlandzkiéj przybrana u dołu aksamitem tegoż koloru, obszyta była sznurem jedwabnym w guście tureckim, mięszanym z dżetem w fantastyczne wzory. Rękawy ścięte do łokcia, ubrane wraz z kieszeniami odpowiednio aksamitem i sznurem. Guziki szmuklerskie zastosowane do sznuru. Gabrjela z knikerbokeru przerabiana w centki lilla ubrana na każdym szwie wypustkami z grubéj materji lilla. Guziki z przodu stopniowanéj wielkości, począwszy u dołu od wielkich jak talary, aż do zwyczajnych, nakryte gipiurą zakończają ubranie. Pasek z materjału sukni objęty wypustką lilla z rozetą na boku dopełnia całości.

Do teatru i na małe wieczorki, młode panienki noszą równie jak w roku zeszłym spódniczki fularowe do białego tiulowego stanika. Widzieliśmy ładne ubranie w tym rodzaju. Spódniczka biała w rzucik pąsowy z koralowych gałązek, zakończona była u dołu rulonem pąsowym. Stanik biały tiulowy, wykrojony czworograniasto, składał się z podłużnych bufek przedzielanych rulonikiem aksamitnym pąsowym. Mały medaljonik powleczony pąsowym aksamitem — przywiązany na szyi wązką aksamitką z długiemi końcami dopełniał ubrania.

W sposobie układania włosów spostrzegamy wiele odmian, w ogólności jednak włosy wiążą dosyć wysoko. Najwięcéj przyjęty wielki kok okrągły rozchodzący się od środka w około zowią go powszechnie *dahlia*, niekiedy otoczony jest na wszystkie strony, drobnemi loczkami. Noszą także inny kok, zwany *melon* złożony z czterech podłużnych pukli, tworzących jakby połowę melona. Włosy nad czołem zaczesują rozmaicie stosownie do twarzy. Mężatki przyjęły fryzurę *à l'empire*, to jest włosy spadające w loczkach na czoło — panienki na wieczory zaczesują wszystkie włosy w górę, z jednéj strony spada na ramię kilka loków.

Czepeczki i stroiki na głowę, odpowiadają zupełnie teraźniejszym kapeluszom. Widzimy katalanki w rozmaitym rodzaju z końcami lub bez końców, jedne z koronki kluni podpięte nad czołem kokardą aksamitną, lub pukielkami z wązkiéj aksamitki — inne z blondyny otoczone w koło wianeczkiem z drobnych kwiatków. Noszą także czepeczki *Lamballe* złożone z denka koronkowego lub blondynowego, przybranego wstążką lub kwiatkami, po obu stronach spadają końce z koronki lub blondyny, które przewiązują się w tyle pod warkoczem. Zalecamy też ładny ubiorek *Marie Stuart* z koronki czarnéj *Chantilly*. Z przodu pomiędzy nioby wpada ząb śpiczasty, włosy zaś pokrywa woaliki z pod zęba rozchodzą się na obie strony róże lub kwiaty bez liści.

Inne znów ubranko z aksamitu niebieskiego w kształcie liści, obszyte frendzlą z pereł, ułożone było z barbą blondynową i łańcuchem z pereł spadającym na szyję. Ładny też uważaliśmy ubiorek z aksamitu Solferino. Warkocz otacza głowę i przechodzi przez środek głowy zakończony grzebieniem dżetowym. Na warkocz spadają plisy szerokie na palec szczepione na końcach dżetowemi gwiazdkami.

Starsze panie przyjęły czepeczki zwane *empire*, tak z blondyny jak i z tiulu z szerokim karczkiem spadającym na włosy, przybrane nad czołem pukielkami z aksamitki. Szarfy spadają po bokach i mogą służyć do wiązania.

(Artykuł nadesłany).

Rzecz nadzwyczajnie dziwna, że plamy na sukniach, tak często się przytrafiające nie tylko że zupełnie nie umiemy wywabiać, ale nawet rządzimy się względem nich, dziwnemi i szczególnemi uprzedzeniami, coś na chińszczyznę albo laponizm zakrawającemi.

Przed parą dniami, jedna z moich córek Teklunia, wzięła świeżą na siebie sukienkę szafirową, z materji wełnianéj z jedwabiem mięszanéj. Trzy dziewczątka młodsze jeszcze siedzą w domu i chodzą w perkalikach, Teklunia zaś jako panna dorosła, pierwszy raz w życiu miała tak kosztowną sukienkę na sobie. Radość więc była wielka, a gdy starsza siostra ukazała się w nowem przebraniu aby przejrzyć w lustrze, młodsze aż klasnęły w rączki wołając z zachwyceniem ach! jakaż to piękna sukienka!

Wieczorem przyszło kilka osób, Teklunia zajęła się gośćmi i w téj krętaninie ani dostrzegła jak się jéj puściła krew z nosa, i suknia dostała pięć plam jak talary, powstałych z kropli krwi rozmazanéj.

Naturalnie zmartwienie ogromne, a tajemnica przedemną jeszcze większa, bo przeszło sto złotych wydatku to rzecz nie mała, dla licznéj a niezamożnéj rodziny.

Kiedy przekonano się o splamieniu, ogólna rada była żeby plam ani dotknąć tylko pozwolić im zaschnąć, a na drugi dzień udać się cichutko do plamiarza i ten najlepiéj rzecz całą załatwi. Jak uradzono tak zrobiono plamy nie tylko zaschły ale przyschły i wrosły, raniućko zaś Teklunia wybrała się do plamiarza i w pół godziny wróciła z zapuchniętemi oczami, szlochając jak w największem nieszczęściu, tak że przestraszona niewymownie zaledwie z niéj słowa mogłam wydobyć, wypowiedziała mi wszystko, kończąc wyznanie jękiem, załamaniem rąk nad głową i traicznym wykrzykiem:

— Ach! nieszczęście! Mój Boże jaka ja nieszczęśliwa.

Panienkę zgromiłam, powiedziałam nauczkę co to są prawdziwe nieszczęścia i na kiedy łzy schować należy, a potem kazałam przynieść wody miękkiéj i po prostu trąc ręcznikiem wymyłam plamy jak najdokładniéj, że najmniejszego śladu po nich nie zostało.

Gdyby to było zaraz dopełnione, w wymyciu nie byłoby najmniejszego mozołu, pociągnienie parorazowe gąbki aż nadto stałoby się wystarczającem. Przy zaschnięciu plam trzeba było silniéj tarcie dopełniać, co troszkę naruszało połysk wierzchni i cokolwiek zmyło farbę. Po wyschnięciu jednak i wyprasowaniu, trzeba wiedzieć i bardzo dobrze się wpatrzyć, żeby poznać miejsca przedtem splamione.

Spodziewam się, że opis wypadku tego jako obchodzący ogół Czytelniczek Tygodnika Mód, powinien znaleźć chętne pomieszczenie w szpaltach jego.

S.

Opis ryciny.

Figura pierwsza. *Ubranie na wieczór.* Sukn!a powłóczysta biała muszlinowa, na niebieskiéj jedwabnéj spódniczce, obszyta w koło wolantem haftowanym, albo koronką *Cluny*. Z przodu spadają szarfy muszlinowe haftowane, obszyte wązką koroneczką. Boki spódnicy przytwierdzone niebieskiemi kokardami. Stanik niebieski wycięty, przybrany w wachlarz haftowaną wstawką. Rękawy krótkie, złożone ze wstawki i wolanta. Szarfa niebieska przewiązana z tyłu. Głowa przepasana wstążką niebieską. Rękawiczki białe.

Ubranie małéj panienki. Sukienka różowa fularowa, przybrana wstawką i medalionami kluni. Stanik wycięty, pod spód koszulka muszlinowa biała. Głowa przepasana wstążeczką różową.



Panu Zenonowi Jan. W Redakcji zostaje złp. 7 gr. 17 Książki żądanéj niema.

Pani Jadwidze Po. Sztuczka na suknią z tiulu jedwabnego w rzucik pluszowy kosztuje rs. 30. Tarlatanowe od 10 rs. do 25. Łokieć brokaleli jedwabnéj po rs. 2 kop. 50 i 3 rs. Wyrób wełniany *velours de Saëda* po rs. 1 kop. 50 łokieć. Popelina w jedwabne pasy po tejże cenie.

Sztuczka materji jedwabnéj w atłasowe paski rs. 47.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).

Dodatek do Nr. 1 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 24 Grudnia (5 Stycznia) 1867 r.

DZIEDZICZKA JODŁOWCA

POWIEŚĆ,

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg.)

W dniach pierwszych moja osoba kłamana—a raczéj to moje kłamstwo uosobione, było mi nadzwyczaj przykre i upokorzające. Kobieta winna być wyrazem prawdy—a ja kłamię! Wyznam szczerze, że przed rozpoczęciem téj komedyi, nie przypuszczałam, że położenie moje — wola moja tak przykrą będzie, i to więcéj jeszcze przykrą aniżeli trudną.

Lecz stało się! Pokazuje się także, że ludzka natura, niestety! łatwo do złego nawyka, bo dziś ten stosunek jest mi już znośniejszym i... o, zgrozo! gdy tego koniecznie potrzeba, to i dość gładko skłamię!!!...

Zapłonęły mi ogniem lica, gdy to piszę: rumienię się sama przed sobą — ale.... wszakżesz i to jest ofiarą! Sama wiem najlepiéj, ile mnie to kosztuje— lecz wiem także najlepiéj, ile a ile owe powody, które mnie tą uczyniły wygnanką.... i kłamczynią, — sprawiły mi cierpień a nawet bólu, bo bólu zwątpienia! A z niepokoju, niewiary i podejrzywania każdego, ktokolwiek byłby starał się o mnie, nie byłabym się uleczyła nigdy! Może ostateczne przekonanie, że tylko moje miljony wabią — będzie owocem poniesionéj ofiary — ależ wtedy spokojna, najspokojniéj, z największą swobodą myśli, starą panną zostanę.

Ranki po największéj części w swoim spędzam pokoju. Czytam i piszę, a nikt mi nie przeszkadza. Mam wolność jak najzupełniejszą, rozrządzania swoim czasem.

Z gości, bywających u nas wymienię dwie panie, mieszkające tutaj dla edukacji dzieci; panią pułkownikową — nie pomnę nazwiska, wdowę; pana radcę stanu, emeryta z żoną i dwiema niemłodemi córkami; profesora jakiegoś, kolegę naszego i panią baronową Morszanową, damę z wielkiego świata, elegantkę sześćdziesięcioletnią, ubieloną, uróżowaną i t. p. Prócz tych osób bywa i obywatelstwo, przybyłe do Warszawy z Lubelskiego i Hrubieszowskiego.

Janina napisała także do państwa Gromontowskich, list ułożony podług listów pani Siewońskiéj. Julja położyła stosowną datę z Meranu, i wyprawiła go z powyższym, by ztamtąd rąk wujowstwa doszedł.

Powiedzmy jednak, że i to nader przykrem wykonała uczuciem: wszędzie i zawsze gwałt zadawała sobie.... dla kaprysu! Ona utrzymywała, że nie dla kaprysu — jakkolwiek że już tego zbyt śmiałego żałowała kroku, a więcéj jeszcze niewłaściwego zupełnie, zwłaszcza też dla kobiety.

Co do jéj pobytu w rodzinie Radzyńskich, to wkrótce wszystko utarło się pomyślnie i dogodnie dla niéj: poprzestano wypytywać się, o jéj familijne stosunki, gdzie dawniéj przebywała i t. p.—co wszelką dla niéj stało się ulgą. I było to niby rzeczą niby tak powszednią, zwyczajną, że panna bez majątku przyjęła miejsce jako towarzyszka panienek w zamożnym domu, gdy matka jej z chorą córką brata, zimę w łagodniejszym przepędza klimacie; że i mówić nie było o czem, chyba zapytując: jak im się powodzi?— Dorozumiewano się także, że na jéj wykształcenie łożył zamożny brat matki.

Garderoba Janiny — lubo że tylko najskromniejsze z sobą zabrała sukienki, świadczyła poniekąd także o pewnym lepszym bycie. Więc znowu domyślano się, że i to z dobroci tegoż płynęło wujaszka.

Osoby zważające na wszystko, i podejrzliwe, byłyby zapewne i ciekawą zwróciły uwagę na ładne elki czarną pokryte materją, lubo że było to tylko podróżne Janiny futro, bo sobole po matce z pokryciem aksamitnem, pozostały się oczywiście w Jodłowcu; byłyby zlustrowały ładne sukienki z elegancją przybrane, piękną bieliznę i one przeróżne drobiazgi, a wszystkie w lepszym rodzaju i smaku, — lecz pani Radzyńska była wyższą ponad takie małostki, i tak samo wychowała panienki. Więc ani tam w myśli postało czyjéj, by jakieś szczególne pod tym względem robić spostrzeżenia.

Złotych ozdób Janina nie zabrała z sobą, prócz zegarka i dwóch broszek skromnych.

Domowe kółko zebrało się, jak zwykle wieczorem. Panna Obrębska już przyszła za samowarem, by herbatę na małym stoliku przy piecu zaparzyć, gdy służący oznajmił przybycie pani baronowéj Morszan i pana Juliusza Grockiego.

— Proszę — wymówiła pani domu i powstała.

Frania i Adzia spojrzały na siebie ze znaczącym uśmiechem.

Otworzono drzwi i zaszeleściały suknie z ciężkiéj materji jedwabnéj, na szerokiéj rozłożone krynolinie, po za którą ukazał się młodzik, szczupły, zgrabny

z małym ciemnym wąsikiem, w stroju według ostatniéj mody.

Nastąpiły powitania. Pani domu powitała młodego gościa, pannie Siewońskiéj, który jéj tylko głową kiwnął, a profesorowi dwa palce podał.

Pani Morszanowa rozparła się w elegancko-niedbałéj pozie na kanapie obok fotelu pani domu, i coś tam zaraz z wielkiem ożywieniem prawić poczęła, giestykulując rączkami w rękawiczkach świeżutkich, jasnych, i pobłyskując szerokiemi bransoletkami.

Pan Juliusz w tym czasie szastał się około dwóch panienek, kręcących się po salonie. Dla Janiny jednak, na któréj się opierała Frania, był więcéj jak obojętnym, bo nawet niegrzecznym. Chciał przez to zapewne swoją wyższość w obec panny do towarzystwa okazać, a zarazem i czołobitność dla panien domu wyłączną. Janina odrazu poznała się na tych manewrach, i umyślnie, dla próby, po parę razy w mięszała się do rozmowy. Ale pan Juliusz nie zważał wcale na to co mówiła, zagadywał z przymileniem do jednéj lub drugiéj panny Radzyńskiéj, odwracając się od niéj. Wreszcie usiadła z robotą swoją, mając tego już dosyć. To mało intermezzo bawiło ją wprawdzie lecz powiedziała sobie: że tylko, jako dziedziczkę Jodłowca, bo gdyby rzeczywiście była panną Julją Siewońską, to pewnieby bolesnéj doświadczała goryczy.

Profesor patrzał się na młodego dandysa z pod brwi zmarszczonych, a niechęć najwyższa tryskała mu z oczów.

— Co też pani mówisz na tego młodzika? — zagadał półgłosem, siadając przy mniemanéj pannie Siewońskiéj.

— Nic wcale—odpowiedziała spokojnie.

— Nie? O, to niekiedy wielkiem bywa słowem!

- Nie daję mu tego znaczenia.

— Mnie niedorzeczność jego, jeżeli nie powiem impertynencya, do żywego, w imieniu pani obraża. Profesor pokraśniał:

— A mnie to bawi, naprawdę — uśmiechnęła się Janina.

Przyznaje pani pod tym względem wyższość prawdziwą.

— Nie mam do niéj pretensji żadnéj! — Janina pomyślała sobie, gdybym nie była Janiną Swiętoborską!.... a potem wymówiła: pan Juliusz Grocki mimo to, może być wcale dobrym chłopcem....

— Tak, ale.... zaperzył się poczciwiec.

— Jemu raczéj zdaje się, że to należy do paniczowskiego tonu.

— Do paniczowskiego g....

— Profesorze!

— Czołem przed panią uderzam!

— Uważam, wyrozumowałam sobie, że jeżeli ktoś dla mnie jest niegrzecznym, to nie mnie, lecz sobie ubliża.

— To jest pewna! Jednakże podziwiam, że to panią nie podraźnia.

— Bynajmniéj — „bo jestem dziedziczką Jodłowca“ pomyślała sobie znowu mniemana panna do towarzystwa.

— Mnie porusza, że mógłbym go za koł....

— Profesorze!

— Już milczę.

— Maniera sobie tylko.

— Pani go bronisz przez wspaniałomyślność: *mais le bien qu'on fait au diable tourne contre vous....* Patrz pani: on motylkuje przy panienkach, bo zamyśla o któréj, a są poważne.

Janina zapłonęła.

— Czy bywa tu często? zapytała....

— Ile razy jest w Warszawie! A ciocia, pani Morszanowa, forytuje go na dobre. Ale z tego nic nie będzie!—pewniejszym dodał głosem — bo znam panią Radzyńską i pana....

— To musi być rozsądny bardzo ojciec i człowiek prawy.

— Cenię go wysoko! Tylko że takie wiercipięty podobają się panienkom, a to dość ładna jest lalka.

— To jeszcze także młode dziewczęta.

— Więc też pani baronowa pragnie interes załatwić rychléj....

Profesor nagle urwał, bo zaszumiały jedwabie, zawiała paczula i pani baronowa niby wonna nadpłynęła chmura — ile, że suknię sinego miała koloru, i na taborecie przy Janinie zasiadła.

— *Que faites vous, ma charmante demoiselle?*— zapytała słodziutko, pragnąc jéj zapewne niegrzeczność Juliuszka nagrodzić.

Janina w milczeniu pokazała jéj robotę.

— *C'est bien choisi.* Kolory bardzo dobrze dobrane. Jakież od mamy wiadomości?

— Bardzo dobre.

— Hrabina Anna ma także zimę w Meranie przepędzić. *Nous sommes amies*, i polecę jéj panią Siewońską.

— Wdzięcznam pani za pamięć, lecz mama nikomu udzielać się nie chce.

Pani baronowa pokraśniała pod różem.

— Pani Siewońska pragnie jedynie oddać się kuracji bratanki swojéj — ozwała się pani Radzyńska, nadchodząc.

Pani Morszanowa odchrząknęła jakoś.

— A może nam pani co zagrać zechcesz i zaśpiewać *soyez si bonne!* — zagadała znowu po chwili do Janiny słodziuchno. Lubię muzykę niezmiernie i Juliuszek także.

Przepraszam panią baronową, lecz zostawmy to na raz inny: dziś nie jestem usposobiona po temu.

Urażona nieco dama, nic już niewymówiwszy, powstała.

Janina zaśmiała się w głębi duszy.

Gdy oddalili się goście zawołała Frania pierwsza, i aż pokraśniała:

— Jaki też ten pan Juliusz był niegrzeczny dla Janinki, to aż oburzało!

— Uważałam to — odrzekła matka—i nazwałam pana Juliusza w obec baronowéj roztargnionym, co

dobrze zrozumiała, bo powstała zaraz i przysiadła się do Janiny:

— A ja mu powiedziałam — zaśmiala się Adzia, że panna Siewońska nie jest Francuzką, jak gdybym przypuszczała, że on dla tego od niéj stroni, bo po francuzku nie umie. Zarumienił się, jak piwonia!— i dziewczę w dłonie klasnęło.

— Więc tak mu powiedziałaś, naprawdę?—zapytała Frania.

— Jak cię kocham.

— I nic nie odpowiedział?

— Ani słówka—i Adzia piruety wywijała po salonie.

Te słów kilka przekonały Janinę, że obawa profesora płonną była.

Dnia drugiego przybył pan Juliusz z wizytą i wtedy przesadzał się w grzecznościach dla Janiny. Znać ciocia baronowa natarła mu uszów — jak wyraziła się Adzia.

Po dniach kilku miała Janina znowu listy z Meranu. Uderzała ją w Julji szczególna tęsknota i żal. W liście pierwszym te wyrazy były naturalne zupełnie: w drugim żałosno tękne uczucie jeszcze przemawiały wyraźniej. Wspominała ukochany Jodłowiec — ich spólny pobyt — miłe rozrywki — osoby miejscowe,... a wreszcie doniosła, że i do „poczciwéj pani Źreńskiéj“ napisała.

Janina opuściła na dłoń czoło, a w myśli jéj przemknęła postać pana Władysława Tumińskiego.... widywali się po razy parę z Julją — on bywał u pani Źreńskiéj — i młoda dziewczyna nagłym ruchem splotła dłonie i zapłonęły jéj lica.

„Och gdybym, gdybym to była wiedziała! — „zawołała w duszy“ — nie byłabym wyjeżdżała z Jodłowca!—gdybym to była mogła przeczuwać!... Zasmuciłam jéj serce.... a może i stałam się przeszkodą do jéj przyszłego szczęścia! Żałuję! Och! żałuję — i miała łzy w oczach. „Otóż takie to są skutki mojego.... Ach, już i nie wiem sama, jak to nazwać!“

VI.

Lepiéj było w tę nie rzucać się *charybdis*.

— Janino!

— Janko złota! — wołały panienki, wpadając do pokoju Janiny, czytaniem zajętéj.

Adzia wyprzedziła siostrę, która zawsze większą zachowała powagę.

— Janeczko, jakżesz się cieszymy! — i Adzia, klaszcząc w dłonie, aż skakała przed nią.

Cieszymy się bardzo — dodała Frania z rozjaśnionem licem.

— I czegóż się tak cieszycie? — zapytała Janina, i odkładając książkę, z uśmiechem objęła Franię.

— Przyjechał wuj nasz, którego bardzo lubimy....

— Cioteczny brat mamy.

— Taki dobry, przyjemny!

— Bardzo dobry! I kochamy go wszyscy.

— Właśnie przysłał służącego.

— Będzie tu dziś...

— Jak to dobrze, że teraz przyjechał, zanim wyjedziemy do Zajezierza!

— I zabawi pewno w Warszawie....

— A wszędzie z nami będzie jeździł i chodził.

— On tak jest przywiązany do rodziców i do nas.

— Grywał z nami w ciuciu babkę...

Jak gdyby także małym jeszcze był chłopcem, a przecież był już dorosłym oddawna.

— On dla każdego jest dobry i względny.

— Jakżeż się nazywa?— zapytała wreszcie Janina, przerywając kataklizmę tych pochwał dziewczęcych.

— Jerzy Gorysławski.

— Gorysławski! — powtórzyła Janina cierpkiem przypomnieniem dotknięta, i zapłonęła nagle, lecz przytulona do Frani potrafiła ukryć rumieniec przed panienkami.

— Nie znasz go?—zapytała Adzia.

— Zkądżeżbym go znać miała! — odrzekła Janina — ale podobno słyszałam to nazwisko już kiedyś.

Wujcio jest przystojny i ładny.

— Wykształcony, rozumny, i pod każdym względem człowiek wyższy — dodała Frania poważnie.

— Wesół miły, gra, śpiewa, tańczy. O, i majętny! Ma piękne i wielkie dobra Żurawin.

— A przytem rządny jak powiada tata.

— Tak, tak: nie marnotrawny, ale też i nie skąpy.

— Uchowaj Boże! — zawołała znowu Frania—on tak jest szlachetny i tyle czyni dobrego!

— Zawsze ma parę chłopców ubogich na swoim koszcie w szkołach.

— Albo też uczą się rzemiosła jakiego.

— On, bo o tém nie mówi nigdy, ale papa wié to zkądinąd. i mama także.

— Zrestaurował i kościół.

— A kosztownie! Papa odchwalić się nie mógł.

— Pan Jerzy często bywa u nas.

— Ma siostrę w sąsiedztwie Zajezierza, panią Eleonorę Bojarowską.

Panią Norę! — zaśmiała się Adzia, bo ona sama tak się przezwała.

— Piękna kobieta i elegantka wielka.

— *Grande dame*, że aż strach! — i Adzia, przedrzeźniając, zadarła głowę, wyprostowała się, zmrużyła oczy, i kołysząc się komicznie, przeszła parę razy pokój.

— Prawda, że arystokratka nieznośna! — wymówiła znowu Frania. Tak we wszystkiem różni się z bratem!... Bo on ani jednym cieniem nie jest dumny, a tak sprawiedliwy, i tak szlachetne ma zasady!

— To jest dzień i noc! — zawołała Adzia, stawając przed niemi — ona, bo na każdego patrzy z góry, którego za niższego od siebie uważa, a przed księżną Ludwikową jakżeż się płaszczyła! Papa, bo jéj nie cierpi. Mama zaś dla wszystkich jest dobra, a więc i dla niéj.

— A jakżeż jest pan Bojarowski?

— On jest godny obywatel i rozumny, i cierpliwie znosi grymasy i przesadę żony.

— Pani Nora brata kocha bardzo.

— To prawda, że go prawie ubóstwia — dodała Frania.

— Papa jednak twierdzi, że to przez próżność tylko, bo to jest egoistka....

— Bez serca, jak mówią!—zawołała Adzia.

— A pan Gorysławski, czy kocha siostrę?— zapytała Janina, nie bez pewnego zajęcia.

— O, kocha ją, bo on tak poczciwe ma serce!— odrzekła Frania — lubo że zna dobrze wszystkie jéj wady, i ubolewa nad niemi. Wpływu jednak wywrzeć nie potrafił.

— Zawsze jednakże pani Nora strzeże się go trochę.

— Pan Jerzy nieraz wstydzi się za nią.

— Ej, bo ona i mało ma rozumu....

— Adziu!— zawołała starsza siostrzyczka — Janka już nas zrozumiała dostatecznie, i panią Bojarowską poznała, nieprawdaż?

— Zupełnie!

— Bo Adzia, jak wpadnie w werwę, to czasem....

— I za nadto wyraźnie wypowie wszystko — dokończyła młodsza panienka — ja, bom już taka!— i wykręciła się na nóżce.

Weszła pani Radzyńska, i także o przybyłym mówiła kuzynie, powtarzając niemal to wszystko, co Janina już od jéj córek wiedziała.

Wiadomość, że Jerzy Gorysławski jest bratem ciotecznym pani Radzyńskiéj, i że go ujrzy za godzin parę, dziwnie poruszyło Janinę. Bo wszakżeż to on właśnie, a raczéj wyrazy jego, lekkomyślnie rzucone, tyle jéj przykrości sprawując, zrodziły owo dziwaczne przedsiewzięcie, od którego ją odwieść nic nie zdołało? Więc dziś go spotka?.., Dziwne, dziwne zrządzenie!

Janina rzuciła się na fotel i twarz w dłoniach ukryła — a uczuła w téj chwili szczególniéj, jak trudnem jéj było zadanie.

Chwilę tak posiedziała — podumała — pokręciła głową i zaśmiała się. Smiech ten jednak wesołym nie był.

„Naprawdę“ — wyrzekła w duszy żem sama z siebie.... niby jakąś heroinę romansową stworzyła!

Potrzeba brnąć daléj....

Ależ, panie Gorysławski!—pogroziła w powietrzu drobną pięścią skuloną — może się jeszcze obliczymy z sobą!... Wiele zrobił mi złego!— opuściła głowę na dłoń, i podumała znowu.

Justyna wniosła światło.

Janina powstała. Ułożyła fałdy szerokiéj, czarnéj sukni mantynowéj. Podjęła świecę i przystąpiła do gotowalni: przypięła świeżą, karbowaną fryzkę batystową, koralową broszkę; takież włożyła mankietki guzikami koralowemi spojone — i starannie przygładziła włosy.

W koszyku przy oknie, kwitło właśnie geranium pąsowe: uszczknęła gałązkę i włożyła ją pomiędzy lśniące, czarne włosy—i ślicznie jéj było. W tejże saméj jednak chwili z niechęcią potrząsła głową: kwiatek wyjęła, drobną tupnęła nóżką i biedny kwiatek, przez odemknięty w oknie otwór, na ulicę wyleciał.

Biedny kwiatek! Z główki ładnéj dziewczyny w śnieg i błoto uliczne — bo właśnie śnieg z deszczem pomiatał.

Janina wyjrzała za nim: szkoda kwiatka! Nie dojrzała nic: pewno zdeptali go przechodnie. Biedny kwiatek! Oj, główko kapryśna!

Gdy w chwil kilka potem do salonu weszła: zastała panienki chodzące po nim, w głośnéj a wesołéj z profesorem gawędce. Postawiła koszyczek z robotą na stole i przyłączyła się do ich przechadzki i pogadanki.

Panna Dubois przy drugim stole rozmawiała z panią domu.

Służący wniósł dość sporą paczkę. Panienki przyskoczyły, rozwinęły ją: były to świeże nuty nadesłane z księgarni!

Panno Siewońska, proszę! — wymówiła pani Radzyńska — zechciéj przejrzeć te nowości.

Janina odebrała zeszyty i rozłożyła na fortepianie ostatni Spiewnik Moniuszki, cudne zawierający piosenki; Ruch muzyczny, istny bukiecik melodji—i parę Polek błyskotnych.

Przegrała je od razu.

— Ależ to jest stukanina tylko!—wymówiła—powstając — jutro rano przegram i wprawię się.

— To może pani zechcesz nas uraczyć i zaśpiewasz. Prosimy i zbliżył się profesor.

— Spiewaj Janko!

— Prosimy, Janeczko! — panienki poczęły ją pieścić.

— Prosimy! — powtórzyła pani Radzyńska.

I panna Dubois wyciągnęła rękę.

Janina usiadła i zaśpiewała Zingarellę.

— Profesora lica zajaśniały—przykiwywał z uniesieniem, a gdy przestała w ręce uderzył.

— Janina powstała i skłoniła głową z uśmiechem.

Wszedł służący i oznajmił:

— Pan Jerzy Gorysławski.

— Pocóż się anonsuje? Prosimy! —zawołała pani Radzyńska, a panienki ku drzwiom pobiegły.

Janina odchodziła od fortepianu. Pan Jerzy wszedł do salonu.

— Miło mi kuzynkę powitać — wymówił, całując w rękę panią domu.

—Pan Jerzy Gorysławski. Panna Siewońska— przedstawiła pani Radzyńska.

Gość pokłonił się z pewnym wyrazem poszanowania.

Janina przechodząc właśnie przez salon, skłoniła się lekko, z wdziękiem sobie właściwym—pomknęła do swojego stolika, usiadła i zróżowione lice nad kanwowym pochyliła haftem.

d. c. n.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie